

---

**J.J.**

---

Jakub Momro

---

TEKSTY DRUGIE 2024, NR 2, S. 363–370

---

DOI: 10.18318/td.2024.2.22 | ORCID: 0000-0003-2479-0599

**1.**

Nie przypominam sobie trudniejszego do napisania tekstu. Pierwotnie planowałem zmierzyć się ze śmiercią Jerzego Jarzębskiego tuż po tym, jak wiadomość o niej do mnie dotarła. Ale coś mnie odwodziło, a raczej paraliżowało. Nie myślę jednak, że czas zmieniłby tu wiele. Przyjaźń z Jerzym była dla mnie, rzecz jasna, przywilejem, ale i przyjemnością, a najczęściej tak rzadko spotykana mieszanką bezinteresownej radości i otwartości – w jakimś sensie taka relacja jest poza czasem. Jurek był, tak jak go widzę, niemal wyzbyty narcystycznych tęsknot, a wyzwania życiowe i intelektualne traktował jako coś, co się raczej współdzieli, niż dyskontuje na własną rzecz. To wielka zagadka Jurka: potrafił się zagnieździć w świecie w najrozmaitszych miejscach i ludzkich konfiguracjach. Ta zagadka tkwi także w tym, że Jerzy był człowiekiem absolutnie organicznym, żyjącym w relacjach, które tworzył i podtrzymywał, i niejako mimochodem zaznaczał swoją obecność, bardziej przez swoją intuicję niż opinię. Władza sądenia była u niego lekka

---

**Jakub Momro** – prof. dr hab., pracuje w Katedrze Antropologii Literatury i Badań Kulturowych na Wydziale Polonistyki UJ, filozof, literaturoznawca, eseista i tłumacz. Zajmuje się teoriami krytycznymi, badaniami na styku nauk eksperymentalnych i humanistycznych, kulturowymi i politycznymi wymiarami fonosfery. Ostatnio opublikował: *Ucho nie ma powieki. Dźwiękowe sceny pierwotne*, WUJ, Kraków 2023. Kontakt: jakub.momro@uj.edu.pl.

jak u Nietzscheńskiego linoskoczka lub tancerza (Jurek to przecież mistrz tańca) – w przedziwny sposób delikatny krok i ruch, gest i uśmiech, tworzył coś w rodzaju siedliska, w którym pomieszkowały najrozmaitsze pomysły, lektury, analizy, interpretacje.

Chodzi tu – co doceniam zbyt późno – o zdolność zupełnie wyjątkową, polegającą na kaprysie w muzycznym znaczeniu tego słowa: rozumianego bardziej jako formuła wyrazu czy ekspresji, niż charakterologiczna trudność. Kaprys pozwalał Jurkowi „grać na wielu bębenkach”, jak głosi tytuł zbioru opowiadań Olgi Tokarczuk, której pisarstwo – warto dziś o tym przypomnieć – miało w nim od samego początku wiernego towarzysza, co w latach 90. nie było wcale takie oczywiste. Myśl o tej zdolności do pochwylenia w locie myśli i stylu jakiegoś pisarskiego idiomu, rozpoznaniu wartości w literackim zaczynie czy też w wielkim intelektualnym projekcie przywodzi na myśl biograficznie istotny (jak wiadomo, oboje jego rodziców było wybitnymi muzykami) wątek muzyczny, który niemal zanikł w pracy Jurka. Wydaje mi się, co wywodzę z licznych rozmów z nim na ten temat, że muzyka jednak dała mu pewne wyobrażenie o strukturze, która musi towarzyszyć myśleniu i formułowaniu refleksji, o ile nie będzie wędzidłem, ale raczej ekranem dla pasji krytycznych, badawczych czy wreszcie egzystencjalnych. Utwór muzyczny, niezależnie czy skrojony podług formuł klasycznych, czy według improwizacji, wymaga jakiejś formy scalenia tego, kto muzyką, by tak rzec, zarządza po to, by mogła ona wybrzmieć, to znaczy złapać nas w paradoksie jednoczesnej bezpośredniości wrażenia i formalnej złożoności. Tak Jerzy traktował literaturę. Oczywiście istnieje ona w zupełnie innym medium, wyczynia z nami cuda za pośrednictwem tekstu, narracji, sporu, rozmowy czy poetyckiej gęstości, ale Jerzy chciał widzieć w tym nagromadzeniu języków rodzaj zdarzenia-nowości, jakie niesie ze sobą kolejna książka, pragnienia, czy, jak pisał, „apetytu” na nieustanną kulturową zmianę połączoną z proustowską z ducha ideą przyjemności czytania i pisania, ożywionego doświadczenia „rozkoszy i dni”.

Dla Jurka miało to, oczywiście, bardzo konkretny wymiar. Pisząc o wielkich modernistach, nie stał się nigdy ich egzegetą w takim sensie, że ciekawość nowych i innych odczytań Gombrowicza czy dość długie oczekiwania na poważne studia o Lemie przeważała nad koniecznością jego pierwszego czy ostatniego słowa – jako wielkiego krytyka. Działo się tak zapewne dlatego, że nigdy nie odstępował od własnego pragnienia bycia w terażniejszości, tak jakby nie chciał jej redukować, szukając jakiejś dominanty w kulturze, której musiałyby podlegać. Myślę, że tkwiło w tym w sumie wyjątkowe przeświadczenie,

że terażniejszość, choć często niechciana i zgrzebna, pozwala zobaczyć jakąś formę, choćby patchworkową, całości kultury i życia samego. Stąd z jednej strony raz po raz pisał teksty, by tak rzec, synoptyczne, z lotu ptaka śledził stan kultury i obraz świata, jak wtedy, gdy wskazując na problem z kanonem, wprowadził do antropologii kultury poręczną i wcale nieoczywistą figurę kryształ, czy wtedy, gdy rozpoznawał „pożegnanie z emigracją” i problemy kultury wychodzącej z lat 80. XX wieku, przeobrażającej się w intensywność lat 90. Z drugiej strony jego analityczny talent ujawniał się nie tylko wtedy, gdy śledził istotne dla siebie pisarki i ważnych pisarzy, lecz również wtedy, gdy z uporem i fantazją zarazem wchłaniał w zastraszającym tempie tak zwane piśmiennictwo, kiedy zasiadał i oceniał, wybierał i towarzyszył. Nie mogę w tym kontekście zapomnieć cudownego momentu, w którym objawił się komediowy, albo lichy wie zresztą jaki, talent Jerzego do dekonstrukcyjnych zachowań. Zanim został promotorem mojego doktoratu, Jerzy recenzował moją pracę magisterską. Nadszedł dzień obrony, wraz z komisją egzaminacyjną niecierpliwie czekaliśmy na spóźniającego się Jerzego. Ale jeden z egzaminatorów, widząc moje nerwy, ze stoickim spokojem oświadczył, że profesor Jarzębski zapewne kończy jakąś najnowszą książkę z zakresu współczesnej prozy polskiej, i niebawem się zjawi, słowem: plan jest precyzyjny, a o roztrągnięciu profesora nie może być mowy. Byłem na granicy śmiechu, kiedy zaraz po tych słowach do sali wpada rozgorączkowany autor *Gry w Gombrowicza*, mówiąc: „Bardzo przepraszam za spóźnienie, ale musiałem skończyć czytać najnowszą powieść NN, zostało mi dosłownie kilka stron...”. Co łączy się, oczywiście, z powtarzaną facycją Jerzego Pilcha z jednego z jego dawnych felietonów, głoszącą, że Jarzębski zakrzywia czasoprzestrzeń: na wykład mający się odbyć o 12.00 wyrusza z domu swym trabantem o 12.15, a zajeżdża przed bramy uniwersyteckie o 11.45. On to potrafił, tyle że w pisaniu, myśleniu, w życiu samym – nie w dykteryjce.

## 2.

Zawsze zastanawiała mnie dewiza intelektualna Jurka zawarta w *Powieści jako autokreacji*. Mówiąc o domniemanym krytyku, pisał o sobie samym:

Zarazem traktuje [krytyk] literaturę jako przedsięwzięcie o «skali kosmicznej» – bo ona służy do budowy wewnętrznego kosmosu twórcy, wprowadza ład między skłócone żywioły, konsoliduje sprzeczne pierwiastki osobowości. Będzie więc cenił głównie tych pisarzy, którzy

z pomocą literatury potrafili pomóc – sobie i nam, potrafili «zbudować świat», uczynić go zdatnym do zamieszkania<sup>1</sup>.

Pisanie i myślenie Jerzego było organiczne także i w takim sensie, że jego dokonania właściwie nie przybierały formy projektów, lecz procesu współistnienia z osobami ukrytymi w tekście. Często to podkreślał, ale chyba sama jego praktyka życia w ramach literatury i teorii pokazywała ogromną wiedzę i zdolność jej wiązania z najrozmaitszymi polami ludzkich doświadczeń. Ostatecznie jego książki tworzyły coś w rodzaju scen uwiedzenia – najpierw siebie jego czytelnika, a następnie tych, którzy czytali jego eseje, szkice, artykuły.

Szukam dobrego określenia na tę praktykę; najbliższe byłoby, tak jak to teraz widzę, pytanie zadane niegdyś przez Jacques'a Lacana, „Che vuoi?”, „Czego chcesz?” – czego chcesz ode mnie czytelnika, „ty Inny” zawarty w tekście. Za tym pytaniem idzie kolejny problem podejmowany przez Jerzego, może bardziej elementarny: jak to się dzieje, że akurat w tym tekście, w tych opowieściach i idiosynkrazjach otwiera się świat mojego pragnienia. Zarazem u Jerzego pytanie to było bodaj mocniejsze w swej zwrotnej formie, to znaczy wtedy, gdy własne pragnienie jako profesjonalnego czytelnika konfrontował ze światem namiętności poznawczych i życiowych Innych, których spotykał na swojej drodze. Jerzy, choć wywodził się ze świata dla mnie niemal zupełnie nieznanego, a na pewno obcego, rzecz jasna nie tylko generacyjnie, ale przede wszystkim klasowo i genealogicznie, był w stanie to wzajemne pytanie podsycać do tego stopnia, że te różnice nikły w rozmowie, sporze czy niezgodzie – wtedy, gdy literatura, sztuka czy kultura była ich przedmiotem, ale bardzo, naprawdę bardzo często, gdy rozmawialiśmy o sprawach zupełnie innych.

Na pewno jest w tej postawie coś z Gombrowicza: to „gra” z jego słynnej książki. Jednak częściej odnosiłem wrażenie, że kryje się w tym coś może więcej, lub – by lepiej się wyrazić – coś bardziej podstawowego, coś z zabawy, wolności, jaką przynosi dziecięce uwolnienie się od przymusów świata normy, radosnego użycia rzeczy w wyobcowanym świecie. Toteż długo nie mogłem zrozumieć, dlaczego po fundamentalnej książce o Gombrowiczu Jerzy nie napisał czegoś równie w zamiarach potężnego czy raczej definitywnego. Otóż stało się tak chyba dlatego, że wyczuwał, iż ta życiodajna moc, jaką czepie z literatury i jej lektury, musi pozostać niedomknięta, ostatecznie

1 J. Jarzębski, *Powieść jako autokreacja*, Wydawnictwo Literackie, Kraków–Wrocław 1984, s. 13.

nieszpolona – w ruchu i procesie. W tym znaczeniu wszystkie elementy jego życiowej i intelektualnej *praxis* opierały się raczej na pokazywaniu niecałości, interweniowaniu w fantazmat, w dokse, a nie inwestowaniu energii w ich podtrzymywanie. Trudno znaleźć lepsze zajęcie dla krytyka, dla którego ważne jest coś, co wychodząc ze światów fikcyjnych, pozwala zobaczyć inaczej naokólną rzeczywistość.

### 3.

Nigdy nie zapytałem Jerzego, bo wstydziłem się głupoty tego pytania, o jego ulubioną czy ukochaną książkę Gombrowicza. Pamiętam za to, że bardzo często rozmawialiśmy o *Kosmosie*, który stawał się dla nas rodzajem tekstowej trampoliny – skakaliśmy na różne wysokości, w jego rozumieniu akurat tej prozy mieściło się coś, co nas wspólnie i twórczo niepokoiło. Najpewniej chodziło o zdolność Gombrowicza do stworzenia w obrębie artystycznej prozy obrazu, a nawet więcej: stanu świata – tak jakby czytanie początkowych fraz z *Kosmosu* stanowiło jakies wejście w niewidzialny gołym okiem świat, w arkana bytu, jakąś subatomową realność. Zarazem jednak ten kierunek bardzo szybko się zmieniał i w poszczególnych absurdach, arbitralnych obrazach i międzyludzkich kolokacjach dość szybko zdawaliśmy sobie sprawę, że za sprawą Gombrowicza zanurkowaliśmy jak dwie Alicje do Króliczej Nory, a potem do Krainy Czarów, do świata gry logicznej, w której stawką jest przebywanie w wielu światach na zmianę i równocześnie.

Chyba wtedy najlepiej zrozumiałem, że literatura i myślenie dzięki niej, ale też na wskroś niej, daje Jurkowi możliwość życia poszerzonego w bardzo swoisty sposób. Gombrowicz dawał Jerzemu takie oparcie w chaomotycznym komizmie. Nie chodzi o efekt konkretnego chwytu językowego czy dramaturgicznego, ale raczej o to, że śmiech stanowi coś w rodzaju efektu powierzchni, na której przebywamy – literatura to spłonka, która odpala ogromny afektywny, straszno-życiodajny ładunek. Bodaj dlatego jego dyskusje z innymi mocnymi czytelnikami Gombrowicza zawsze pozwalały mu zorientować się w przyjemności, jaką czerpał z „podglądania Gombrowicza”. Wtedy, gdy dawno temu polemizował z Andrzejem Falkiewiczem, odrzucając jego przykładowo idiosynkratyczną interpretację, wtedy, gdy spierał się z Marią Janion o status gotycyzmu i kultury popularnej w *Opętanych*, czy wreszcie: zaglądając niczym krytycznoliteracki chochlik do otchłani „czarnego nurtu”, o którym pisał Michał Paweł Markowski. To cudowne, uwalniające gesty, pokazujące, że czytanie może działać wybuchowo, zmieniać, jak to określał,

„wartościowanie w sieci kultury”, dawać frajdę, którą – na powrót, w zupełnie nieoczekiwanych ludzkich i pojęciowych światach – można znaleźć w nawet najbardziej zaawansowanej literaturze.

#### 4.

Co ciekawe, zorientowałem się, że im głębsza i dłuższa była nasza przyjaźń, częściej niż do Gombrowicza zaglądamy do Lema. Jurek co raz to mówił, że lektura tego autora była dla niego najpierw czysto przyjemnościowa, związana z rozrywką śledzenia fabuły, a potem zaawansowana, w miarę jak wyobrażenia Lema coraz bardziej zniewalała intelektualnie. Oczywiście, wspólnota Lema i Gombrowicza miała dla Jurka swoje nieco mityczne początki, tj. wtedy, gdy w ręce autora *Solaris* wpadła rozprawa Jerzego o kategorii gry u Gombrowicza. Ale myślę, że zdolność Lema do życia w wielu światach równocześnie była czymś, co magnetyzowało Jerzego. Lem zadawał w swoich książkach i tekstach pytania z pozoru dziwaczne, niemal spoza antropologicznego horyzontu. Pokazywał świat alternatywny nie tylko w scenariuszach fantazji albo projekcji, lecz w zupełnie niezwykłym miejscu, z jakiego można patrzeć na człowieka, naturę, kosmos, i zobaczyć, jak wytwarza się i dystrybuuje wiedzę. To wyjątkowe, niemal dialektyczne połączenie regularności poznania naukowego, przypadku kosmo-ontologicznego i arcyłudzkiej przygodności można znaleźć we wszystkich tekstach Jerzego poświęconych autorowi *Głosu Pana*. Widać w nich też, że Jarzębski wysuępuje z tych fabuły i esejów rodzaj wiedzy, w której sąsiadują ze sobą skończoność ludzkiego istnienia i niedoskonałość technik poznawczych.

Jest też w nich coś więcej (to raczej domysł, bo chyba jednak nie potrafiłbym teraz tego udowodnić), że zarówno u Jurka, jak i Lema można wyczuć rodzaj melancholijnej wiedzy, która pozwalałaby się nam obronić przed radykalną mizantropią. Może też dlatego (pośród innych powodów) Jerzy nie był w stanie napisać monografii autora *Apokryfów* (nie liczę tutaj wydanej po niemiecku książki, której Jerzy raczej nie cenił), przewidując, że „wszechświat Lema” należał nie tylko do niego, lecz uruchamiał nieskończony ciąg wieloświatów i mnożących się nauk, w którym nie ma już mistrza gry. Może dlatego spełniał się w stosunkowo krótkich tekstach/wstępach do kolejnych tomów dzieł zebranych Lema lub w problemowych przekrojowych artykułach (jak w przenikliwej analizie polityczności pisarza), a nie w ostatecznej syntezie, która w porównaniu z innymi autorkami i autorami byłaby zbyt angażująca i nazbyt mocno przywiązywałaby Jerzego-krytyka do jednej osoby.

**5.**

Wspomniana felietonowa fraza Pilcha nie kłamie. Jurek był w stanie łączyć różne, czasami, wydawałoby się, nieprzystające porządki kultury i różne czasy. Jak się zdaje, dlatego też szukał realnych przestrzeni, nie tyle tych, w których pojawiał się genius loci, ile takich, w których świat niematerialny, literacki spotykał się z rzeczywistością śladów czyjeś konkretnej obecności, często – czemu poświęcał bardzo dużo uwagi – rzeczy, przedmiotów, materialnych drobiazgów żyjących własnym życiem, posiadających swoją genealogię. W swym piśmiectwie, biorąc na warsztat teksty o tak rozmaitych tematach, jak „prowincja centrum” Schulza, powojnie u Hłaski, ziemiaństwo Gombrowicza czy fetyszizm towarowy w nostalgii Chwina, Jerzy tworzył rodzaj przedmiotu ucieleśnionego w praktykach poznawczych. Rzecz nie była dowodem empirycznym, ale przecież zawsze wpisany w gwiazdozbiory kontekstów naukowych, jak u Lema, hierarchii i dystynkcji klasowych, jak u Gombrowicza, czy wyzwania współczesności, jakim jest autentyczność. Przeczesując teraz (abstrahując od chronologii) prace Jerzego, zobaczyłem, jak jego intensywność, czy, by tak rzec, „dzikość czytania”, daje pożywkę i dzisiaj, w zupełnie innym czasie, innej epoce historycznej, politycznej i technologicznej. Doprawdy niewielu się to udaje.

**6.**

Jerzego poznałem dość tradycyjnie, jako uczestnik jego kursowych zajęć z literatury dwudziestowiecznej. Oczywiście, jak każdy wyrazisty wykładowca, odznaczał się uderzającymi cechami. Dość przypomnieć jego słynne milczenie: kiedy zadał pytanie, które, mówiąc ogólnie, nie spotkało się z żwawym odzewem wśród nas, studentów, potrafił milczeć tak długo, aż wreszcie ktoś nieśmiało postarał się z siebie wydobyć jakiś choćby hasłowy pomysł. Nie każdy tak potrafi. W tym czasie przeobrażającym się w mityczne, a niekiedy, trzeba to otwarcie wyznać, monstrualne niemal milczenie, miałem wrażenie, że Jerzy to Iwona ze sztuki Gombrowicza, która testuje na nas nieludzkość formy.

Do decydującego o naszej relacji spotkania doszło jednak kiedy indziej. Któregoś razu Jerzy zaprosił mnie na jubileusz Jana Błońskiego, gdzie jako dzieciak prawie miałem wystąpić z krótkim tekstem, stanowiącym w zasadzie próbę sprostania słynnemu pytaniu Janusza Sławińskiego, „Za co powinniśmy kochać Jana Błońskiego?”. Nie pamiętam dokładnie, o czym mówiłem, byłem zapewne przerażony tą propozycją, dość że zdawałem sprawę ze swej

miłości do Błońskiego „francuskiego”, bardziej do Błońskiego pokazującego krytyków stosujących intelektualną wielopolówkę, takich jak Jean Starobinski, Roger Caillois czy Georges Poulet, niż wielkich pisarzy, jak Proust. Wtedy jednak najintensywniej czytałem Rolanda Barthes’a, którego Błoński nie tylko przyswajał polskiej humanistyce, ale z którego wybitnie czerpał. Kiedy dowiedziałem się, że Jurek nie żyje, przypomniałem sobie początek *Romansu z tekstem*, książki w punkcie wyjścia bardzo w stylu dyskursu miłosnego, gdzie Błoński pisze o łzach krytyka. Co prawda przesłaniają one tekst, tworzą coś w rodzaju kognitywnej mgły, zasnuwającej obiekt krytyki, ale i tak są po tysiąckroć lepsze niż brak wrażliwości czytelnika. Przypomniało mi się niezwykle spojrzenie Jurka, wzrok, którego szlachetności do końca nie umiałem odgadnąć. Dla Jerzego pasja lektury i pisania zgadzała się z miłością, przyjaźnią i subtelnością, którymi obdarzył tak wiele osób. Jeśli pamięć tych dobrych zdarzeń kiedyś choćby na chwilę mnie i nas zawiedzie, zostaną teksty i książki Jurka, dzięki którym nie trzeba będzie się z nim żegnać ostatecznie.

## Abstract

---

**Jakub Momro**

JAGIELLONIAN UNIVERSITY

./.

A retrospective article dedicated to Jerzy Jarzębski

## Keywords

---

Jerzy Jarzębski, memory, Polish studies